

# Magdalena Bajer

---

## Lady Olesia

---

Niepodległość i Pamięć 13/3 (24), 299-304

---

2006

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Magdalena Bajer**

Warszawa

## Lady Olesia

Przyszedł list. Z Anglii, z Barrowford, prawie na granicy Szkocji, gdzie byłam trzy razy, w różnych porach roku, ukazujących miasteczko zawsze inaczej. Nazwisko nadawcy nic mi nie mówiło, ale tym, że nieznanne wywołało niedobre przecucie. Czytałam: „Z przykrością informuję Panią, że pani Helena Polakowa zmarła (data). Nie cierpiała długo i miała dobrą opiekę. Wspominała Panią nie raz i przed śmiercią także. Na jej prośbę odsyłam Pani te zdjęcia...”.

W kopercie było parę fotografii, które zrobiliśmy sobie z Olesią u niej w domu, w Barrowford i jedna, wyblakła, trochę pognieciona, w ogródku sąsiedniej kamienicy, która stała nie jak nasz dom przy Zielonej, ale pod numerem jeden przy Zamojskiego we Lwowie. Na tym zdjęciu są moi rodzice i moja przyszywana ciocia z ul Zamojskiego i ja z jej córką, przyjaciółką od tamtych lat do dzisiaj, mające wtedy po osiem lat pewnie.

### moja Oleśka

Zapatrzyłam się na to zdjęcie sprzed ponad pół wieku – obrazek z epoki, po której ginęły Atlantydy tak szybko, że pozostały po nich tylko wątle ślady w pamięci. Zaczęłam myśleć od kiedy Olesię pamiętam?

I dotąd nie wiem czy jest to najdawniejsze wspomnienie. Z pewnością jest najwyrazistsze ze wspomnień o Olesi przedwojennej. Zogniskowały się w nim wszystkie dziecinne wyobrażenia o tym jak było przed wojną, bo inne urywkowe wspomnienia są wymieszane – ostatnie lata niepodległej, jak teraz to sytuuję, okupacje, jedna, druga i... pożegnanie Lwowa i długi czas, parę epok, w których Olesi nie było. Tamto wspomnienie powraca nieraz przez wszystkie dziesiątki lat mijających: Leżę w wielkim łóżku w sypialni rodziców, którzy gdzieś wyszli. Musi być wiosna albo lato, bo okno otwarte. Dlatego oglądam przesuające się po ścianach i suficie smugi światła pojazdów przejeżdżających ulicą Zieloną. Nie mogły to być same auta, bo aut wtedy było mało, nawet w takim mieście jak Lwów. Pewnie powozy i tramwaje. Towarzyszył tym naściennym widokom od czasu do czasu stukot damskich obcasów na chodniku. Strasznie mi się dłużyło i robiło smutno. Zbierałam się w sobie, żeby zamknąć oczy i przebiec ogromną jak mi się zdawało, przestrzeń ciemnej

jadalni (bałam się w dzieciństwie ciemności) i nieskończenie długi kawał przedpokoju, dzielące mnie od kuchni, gdzie była Olesia. Z zamkniętymi oczami biegło się wolniej, za to nie widziałam powykrzywianych cieni od mebli i wielkiego pieca. Bosa i spocona dopadłam ciepłych kolan pod kuchennym stołem, na którym oparła na skrzyżowanych rękach głowę i drzemała zmęczona, czekając aż państwo wróca. „Madzia, czegoż ty dziecko się boisz? Chodźmy”. Zasnęłam w swoim łóżku z Olesiną dłonią na głowie.

Pamiętam naturalnie pierogi, jakie robiła, które były (i są do dzisiaj) najulubieńszym moim daniem, a nie nazywały się, jak teraz, ruskie (mówiło się opisowo: pierogi z serem i kartoflami), no i placki kartoflane, o które ciągle się dopraszałam, a Olesia nie odmawiała, choć miała tak dużo pracy. Tę ostatnią prawdę jej losu poznałam dużo później.

### Helena Polak

Ślub Olesi odbył się chyba w 1942 roku. W cerkwi. Olena Gudz, pochodząca spod Szczyrca (nie znam nazwy tej wioski), wyznania grecko-katolickiego, panna, wychodziła za Stanisława Polaka, wdowca, wyznania rzymsko-katolickiego, zamieszkałego we Lwowie. Wszystkie te dane, oczywiście, zebrałam ex post. Wtedy, w cerkwi, trzymając kurczowo duży bukiet, przywieźły już trochę, gdy go wręczałam po parogodzinnej ceremonii z mnóstwem śpiewów i kadzideł, nie wiedziałam przecież, że jest Rusinką. Słyszałam nieraz, ukradkiem, złe rzeczy o Ukraińcach (wtedy jeszcze nie te najgorsze); na parterze naszej kamienicy był podczas sowieckiej okupacji komisariat milicji ukraińskiej, ale ani na jotę nie kojarzyło się to z naszą Oleśką, choć wieczorem mówiłam jej „dobranic” ku uciechu Tatusia.

Ostatni raz widziałyśmy się, kiedy z Mamą poszłam odwiedzić państwa Polaków w ich mieszkanku na Filipówce – znów dźwigając bukiet. Mama z Olesią rozmawiały przy herbacie, a mnie pan Polak pokazywał rybki w szklanej kuli akwarium.

Niedługo zastąpiła Olesię Marynia – znacznie starsza i, jak mi się zdawało, mniej sympatyczna, która zraziła sobie mnie ostatecznie smażąc placki z gotowanych kartofli, zupełnie inne niż te, do jakich byłam przyzwyczajona. Nie wiem czy rodzice kontaktowali się ze swą dawną gosposią (wówczas zwaną służącą, niezależnie od stopnia zażyłości), ze mną wspominali Olesię nieraz, wyrażając nadzieję, że życie dobrze jej się ułożyło.

### paczka

Mieszkałam od grudnia 1945 roku we Wrocławiu. Skończyłam tam szkołę (jedenastoletnią), potem polonistykę na uniwersytecie, któremu akurat wtedy nadano imię Bolesława Bieruta (!). Wyszłam za mąż za kolegę. Pracowałam w Ossolineum, co było jakimś nawiązaniem do lwowskiego dzieciństwa – Lwów był obecny w rozmowach i wspomnieniach ówczesnych, starszych ode mnie Ossolińczyków. Mieszkaliśmy w dużym domu na peryferiach razem z rodzicami.

Nasz syn miał kilka lat, gdy po powrocie z wakacji zastaliśmy, zaadresowaną do Ojca, paczkę z... Anglii. Nadawca: Helena Polak. W środku prezenty – to czego w Polsce nie było lub było tylko w PEWEXACH: nylonowa koszula męska, nylonowe bluzki dla Mamy i dla „Madzi, która pewnie wyrosła”, nylonowe pończochy i apaszki oraz materiały na suknie z modnej podówczas crempliny (długo tę sukienkę nosiłam).

W liście było napisane, że Olesia odwiedziła daleką rodzinę, osiadła po wojnie na Dolnym Śląsku, wyszukała w książce telefonicznej nasz numer, ale nikt ni podnosił słuchawki; więc pisze na ten z książki adres.

I jeszcze to, że z mężem, pasierbem oraz dwiema znajomymi rodzinami zapisała się za Niemców na wyjazd do Jugosławii, na roboty, pono lżejsze niż w Rzeszy. Podczas podróży pociąg wjechał na minę i część wagonów wyleciała w powietrze. Z jej bliskich nic się nikomu nie stało i, po różnych perypetiach, znaleźli się w... Rzymie. Tam moja Oleśka zarabiała pomagając starszej zamożnej Włoszce prowadzić dom – ciekawe czy podawała pierogi i placki kartoflane? Życie w Wiecznym Mieście nie kontentowało jednak państwa Polaków i, znalazłszy do tego okazję, udali się do Anglii. Adres nadawcy był w Nelson, niewielkim miasteczku na północy wyspy.

Od tej pory zaczęła się nieczęsta korespondencja, której pilnowała głównie Mama. Przyszło jeszcze kilka paczek, zawsze z serdecznie przemyślaną zawartością, mimo zapewnień Mamy, że niczego nam nie potrzeba. My z mężem i synem wyjechaliśmy do Warszawy.

### to my nurse...

W 1987 roku syn pojechał na stypendium doktorskie do Cambridge. Z rodziną, tj. żoną i dwójką dzieci. Odwiedziliśmy go, a ja postanowiłam spotkać się z Olesią. Wiedziałam, że jej mąż nie żyje, że ona nie mieszka już w Nelson tylko opodal, w Barrowford i że to jest miejsce, nazywane u nas (czasami na wyrost) domem spokojnej starości. Telefon z Cambridge ucieszył ją bardzo. Zapytała od razu: „Madzia, a czy ty dalej lubisz pierogi?”. Młasnęłam do słuchawki i zaraz: „To będą”.

Jechałam z Cambridge trzema autobusami dalekobieżnymi, denerwując się przy każdej przesiadce czy dobrze zrozumiałam szybko wykrzyczany przez głośniki komunikat i wsiadłam do właściwego pojazdu. Ostatni był miejski autobus z Nelson do Barrowford. Na jego przystanek chciała po mnie wyjechać Olesia, ale przekonałam ją, że po czterdziestu latach trudno nam będzie się rozpoznać, więc czekała w domu.

Tylko kilkoro pasażerów wsiadło ze mną. Zaczęłam kiepską angielszczyznę wypytywać konduktora o adres zapisany na kartce. Wzruszające wyznanie, że jadę z Polski „to my nurse” sprawiło, iż autobus nałożył drogi i okrążywszy miasteczko drugi raz zatrzymał się u stóp wzgórza, które minęliśmy na samym początku, konduktor otworzył drzwi i, wskazując ręką dom na szczycie, powiedział: „Good luck!”.

Nie poznałabym Olesi (tym bardziej ona mnie). Mama w Polsce mówiła mi, że miała twarz ikony i opuchnięte już w młodości, grube nogi. Zobaczyłam roześmianą pociągłą twarz starszej pani, wesołe, troszkę skośne, oczy, śnieżnobiały sweterek i poczułam zapach świeżości, który unosił się w całym mieszkaniu. Bo to było mieszkanie, nie żadna wdowia klitka – dwa pokoje (living i bed rooms), kuchnia, duża łazienka, korytarzyk i komóreczka na domowe sprzęty. Olesia powiedziała mi, że po śmierci męża, z którym przeżyli tu dwa lata, zachowała je, na co pozwala jej emerytura, skądinąd zbyt skromna za sprawą, złej dla ludzi, polityki paskudnej „Tacherki”.

Po pierogach i herbacie rozmawialiśmy nie zauważając, że zrobiło się ciemno i zza okna wychodzącego na stromiznę wzgórza padały zgodnie na podłogę blask księżyca oraz latarni.

### „...wiesz Madzia...”

Nie wiedziałam o życiu Olesi prawie nic. Była ważną osobą mojego dzieciństwa. Po pół wieku od naszego rozstania usłyszałam opowieść o tym dniu, kiedy przychodziłam na świat w szpitalu przy ul. Kurkowej. „A ty wiesz Madzia, jaki pan doktor był zdenerwowany? Dzwonił ze swego szpitala, że się spóźni na obiad, a potem z Kurkowej, że nie wie kiedy przyjdzie. A potem zadzwonił i mówi „Olesiu, urodziła mi się córka.” Dowiedziałam się o tym czterysta kilometrów od Cambridge, gdzie były moje wnuki – pięcioletni Karol i roczna Urszula. Na wieść o nich Olesia wyciągnęła z komody lalkę-murzynkę i szereg innych prezentów.

Nie wiedziałam, że ona miała kilkoro rodzeństwa, ale żadne z nich, ani Olesia, nie skończyło szkoły, bo po Pierwszej Wojnie Światowej w okolicach Lwowa kręciły się bandy maruderów i niebezpiecznie było dzieciom chodzić przez las. Dzisiaj moja „nurse” sylabizuje angielskie gazety, a listy do Polski pisze jej dawna sąsiadka z Nelson. Z angielskim otoczeniem porozumiewa się doskonale, pomagając sobie tym serdecznym śmiechem, w którym uczestniczą żywo jej dobrze patrzące oczy.

Do nas nastąpiła mając 19 lat, jako pomocnica „starej Hanki”. Wszystkim wtedy zarządzała babcia, której nie pamiętam, majaczy mi tylko jej łóżko z zieloną lampą nad nim. Olesia wspomina jak to kiedyś rano weszła do tego pokoju zapalić w piecu i myśląc, że babcia śpi nie odzywała się. Później Hanka mówi do niej: „Ktoś był dzisiaj u starszej pani i nie powiedział dzień dobry. Wiesz Madzia, ja to zapamiętałam na całe życie. Jak się trzeba zachować”.

Nie wiedziałam nic o Lwowie oglądanym i przeżywanym z perspektywy „dziewcząt” zarabiających służbą w domach średniej klasy, jak powiedzielibyśmy dzisiaj, na posag i lepsze życie. Nie wiedziałam jak trzeba się uwijać, żeby napalić przed siódmą rano w sześciu piecach i jeszcze pod kuchnią. Jak trudno wyprasować żelazkiem na węgle pełne falbanek batystowe koszule babci. Siedząc na kanapie obok Olesi widziałam tamten Lwów, malowany jej opowieścią bez oskarżeń i bez tęsknoty, ale z rozczuleniem. Przypomniało mi się stwierdzenie Mamy w jakiejś rozmowie, przy wrocławskim, ponemieckim

stole, kiedy się wspominało dawne czasy: „To jednak był wyzysk. Ale nikomu nie przychodziło do głowy, że Olesia mogłaby pójść spać gdy my szliśmy do teatru”.

Na śniadanie zjadłyśmy grzanki z marmoladą pomarańczową i po połowce grapefruita. Drzemiąc potem w autobusie miałam przed oczami kuchnię przy Zielonej z wyszorowanym w sobotę sosnowym parkietem i talerz placków kartoflanych ze śmietaną, które podawała mi ze śmiechem siwa, w angielskim sweterku, lady Olesia.

### nasza pani Polak

Kilka lat później pojechałam do Olesi z synem, który urodził się we Wrocławiu. Zapowiedziałam mu, że jedziemy do Lwowa sprzed sześćdziesięciu lat. Wybraliśmy się autem, okrężną drogą, przez Krainę Guliwera i jedyne w tej części wyspy góry. Było bardzo ciekawie, ale podróż trwała o wiele dłużej niż to zapowiadaliśmy, a telefon komórkowy był kosztowną rzadkością i żadne z nas go nie miało. Raz zadzwoniliśmy z automatu przepraszając, że się spóźnimy, a nie wiedząc, że aż tak bardzo.

Wieczorem pierogi trzeba było odsmażyć. U Olesi była akurat zarządzająca domem. Angielka. Powiedziała z wyrzutem: „Nasza pani Polak bardzo się denerwowała, a jej nie wolno się denerwować. Ma chore serce”. Sznurek burstynów po Mamie i wiadomość o jej śmierci, przywiezione z Warszawy, odłożyłam do jutra, które mieliśmy całe spędzić w Barrowford. Olesia myślała, że będziemy mieć dwa dni na wspomnienie.

Pielęgniarka zmierzyła ciśnienie, pomogła zdjąć obciste przeciw żylakowe pończochy i poradziła, żebyśmy wszyscy poszli spać. „Good night missis Polak”.

Olesia przytrzymała mnie za rękę: „Widzisz Madzia jak ja tu mam?”. Czuło się, że bardzo ją lubią i szanują ci ludzie w dalekim kraju, a ona jest z tego dumna.

Angielska gospodyni długo rozmawiała z nami, w pokoju, który za grosze u niej wynajęliśmy. Pytała o panią Polak, i jej młodość, o Ukraińców i czy to prawda, że Polacy są z Ukraińcami w konflikcie. Nie umiałam ani mój syn (mimo świetnej angielszczyzny) wytłumaczyć, na czym polega to, że Olesia jest tak samo Ukrainką jak Polką (do końca życia nie miała brytyjskiego obywatelstwa), służącą i damą, niepiśmienną i mądrą kobietą, która bystro ocenia otoczenie, wdzięczną Bogu i ludziom za to, co ją spotkało dobrego, choć umiejacą policzyć doznane krzywdy. Nie zapomniała ich pasierbowi i pierwszym chlebodawcom angielskim, u których, w fabryce nici, pracowała za śmieszne wynagrodzenie, nie orientując się wtedy ile się jej należy.

Dostosowała się ochoczo do codziennych wygod życia w Anglii. Do elektrycznej kuchni tak pomyślanej, żeby gotujący nie musiał się schylać, jakie są w Barrowford. Przedtem, uciulawszy na domek, zaraz założyli z mężem podwójne szyby, bo „... ty wiesz, Madzia, Anglicy to mają wszędzie pojedyncze, jak dzikusy. Ja im tego nie mówię tylko tobie”. Olesia ma naprawdę ma-

niery lady. Dlatego, że jej delikatność, uważna, żeby nie zrobić przykrości i jej nieustająca serdeczność są najzupełniej naturalne, jak naturalna jest szczerść pytań i uwag („Madzia czy ty masz, nie daj Boże, krzywe nogi, że ty nosisz takie długie spódnice?”), a wesołość odbija wewnętrzny spokój. Znalazła, daleko i po długich mozolach, starość, jakiej pragnęła i na jaką we własnym poczuciu zasłużyła. Śmiejąc się mówi: „Wiesz Madzia, ja kupuję tylko u Marxa i Spencera. Inne to tandeta, a ja tandety nie lubię. Co Ci posyłałam też było od Marxa i Spencera”.

Przed naszym odjazdem Olesia odezwała się poważnie: „Wiesz Madzia, ja chcę żebyś miała pamiątkę ode mnie. Na zawsze. Ale ja teraz już nie wychodzę i nie mogę pójść, coś kupić. Ja ciebie proszę, weź te funty, kup sobie coś ładnego i powiedz mi co kupiłaś”. Nieśmiało jakoś wyciągnęła rękę ze zwiniętym banknotem, dodając: „Ja wiem, że nie daje się w prezencie pieniędzy...”. W Cambridge kupiłam sobie złote kolczyki. Wieczorem zadzwoniłam do Olesi, że o takich marzyłam i bardzo jej dziękuję. Najczęściej noszę te właśnie.

### **jak to jest?**

Przypominając sobie spotkania z Olesią w Anglii, mam zawsze wrażenie, że odebrałam lekcję historii – nieoficjalną, ale wiarygodną, choć udokumentowaną tylko jednostkowym losem.

Oficjalnie wbijali mi w głowę przez całą szkołę i całe studia, że „motorem rozwoju społeczeństw jest walka klas”. Koledzy szkolni byli dość jednorodni pod tym względem. Na uniwersytecie dzieci robotników, chłopów oraz inteligencji pracującej zgodnym chórem potępiały „burżuazyjne literaturoznawstwo” i to wyczerpywało wszelką potrzebę walki.

Opowieści słuchane w Barrowford, pełne miłości dla moich rodziców, ale przy tym obfitujące w humor, pokazujące, doskonale zauważone, ich słabostki i śmieszności, z tym co chwila: „Wiesz Madzia, oni ciebie krótko trzymali, ja się nieraz wstawiałam za tobą... Wiesz Madzia, tę twoją koleżankę to mama twoja zapraszała na obiad, bo ona była biedna, a ty nie wiedziałaś o tym. Wiesz Madzia, jak ja mamę pocieszałam, kiedy tata się ukrywał a kacapy przyszły go szukać?...”.

Mój syn słuchał tego jak bajki o zaginionym świecie, ale bardzo cieszyła go estyma Olesi dla ukochanych dziadków i serce dla Madzi – tamtej i terażniejszej. Mnie radowało to, że rodzice musieli nie być wielkimi wyzyskiwaczami, a ich dom, z perspektywy kuchni i kuchennego ganku, pozostał w pamięci tak samo dobrej jak moja. Zyskałam jeszcze jeden powód do wdzięczności za to, co z tego domu wyniosłam i okazję, żeby sobie całe to bogactwo na nowo prze-myśleć.

Thank You Lady Olesia!